

# Pamiętnik Słima Morano – 10

15 sierpnia 2020

## Kronika roku 2008

Zapytałem kiedyś Hermana: „Czy istnieje w ogóle coś takiego jak grzech? Czy ktoś sobie tego po prostu nie wymyślił? I dla utrzymania się przy władzy nie próbuje grać roli lichwiarza naszych sumień?”. Odpowiedział mi: „Grzech jest przeciwwagą wszelkich dobrych intencji. Jest on zasadzką, którą sam kiedyś wybudowałeś i w którą sam teraz wpadłeś. Uświadamia ci swoją małość i twoją tęsknotę za tym, co Boskie. Przyczynami grzechu są egoizm, smutek, rozpacz, nienawiść, samotność, tępota, krótkowzroczność, brak nadziei... Ale ponad wszystko grzech jest nałogiem, który, tak jak silny narkotyk, zabija twoją naturalną wrażliwość na piękno. Grzech jest jak fałszywy ton w samym środku koncertu. Ton, który zrywa strunę w środku twojego serca i pozbawia cię słuchu...”

Znowu wyleciałem z pracy. A właściwie to sam się wykatapultowałem. Od paru lat pracowałem jako przewodnik w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Kolonii. Tak, tak, w Kolonii, w Niemczech. Poszukiwali francuskojęzycznych przewodników. I udało mi się. Znałem też przecież jako tako niemiecki. I polski oczywiście. Co prawda do tej pory nie oprowadzałem tutaj jeszcze żadnej grupy z Polski, ale już miałem do tego okazję w pewnym innym muzeum sztuki nowoczesnej w pobliskim Duesseldorfie. Oscyłowało to jednak na granicy opłacalności – jechać kilkadziesiąt kilometrów tylko po to, żeby zarobić te pięćdziesiąt euro. Tyle że ja lubiłem swój zawód, bo lubiłem sztukę współczesną. Nie wszystkie oczywiście jej dokonania tak samo, ale nie obowiązywały mnie żadne schematy interpretacyjne, nie wolno mi było tylko robić antypropagandy. Ale też nie chciałem. Zawsze starałem się pozostać neutralny, żeby nikt nie znalazł pretekstu, żeby się mnie czepnąć. W

końcu kogo to zresztą obchodziło, że od środka jestem jakimś mistykiem, że mam kontakt z jakąś nadrzeczywistością, z którego bym nie zrezygnował, nawet gdyby mieli mnie torturować, a potem spalić na stosie. Klaudia mi opowiadała, że kiedyś byłem heretykiem i zostałem żywcem spalony, tyle że nie przez inkwizycję, ale przez muzułmanów. „Są też święci heretycy – mówiła Klaudia – taka dziwna kosmiczna nacja, której przedstawiciele przychodzą na ten świat, żeby rozpowszechnione w nim systemy religijne nie ulegały stagnacji i degeneracji. I żeby nie stały się jedynie narzędziami władzy w rękach ich przywódców. Bo wielu przywódców tych systemów to nie są nasi ludzie, nie służą Królowej i często traktują nas – straceńców nowego przykazania – jak największych wrogów. Są dla nas gorsi niż inkwizycja. Weź przykład Joanny D’Arc, która stała się ofiarą rozgrywek politycznych i w przeważającej części patriarchalnego (by nie wyrazić się dosadniej) aparatu władzy. Była żywą ikoną, której się bali. Była jak nieskalana krew, jak strumień żywej wody, która rozmywała im ich zachlewione bagno. Ale przecież ci przywódcy, ci fanatycy stagnacji, ci pogromcy ducha, oni też są tylko aktorami na scenie. Są tylko kukłami. A ich reżyser, fałszywy rex mundi, jest tylko panem jednej kadencji. Lecz oni wszyscy myślą, że to jest jego monarchia dziedziczna. Ale gdyby oni wszyscy siebie zobaczyli, ci przywódcy stagnacji i politycznego pseudo ładu, gdyby zobaczyli swoje duchowe postacie, to by się przerazili – te ich zrogowaciałe narośla na ciele... Ujajaj! A poza tym tak naprawdę, jak mawiał jeden ze straceńców z obozu Królowej, rzecz w tym, aby jak najlepiej odegrać swoją rolę. Bo rolę rozdziela ktoś, kto stoi ponad nami; i nie ma się na to wpływu. Ale ma się wpływ na jakość wykonania.”

Zatem i ja także starałem się robić to, co robiłem, jak najlepiej. Niektórym było to jednak nie w smak. Niektórzy nie mogli znieść, że miałem więcej widzów od nich. Starali się ze wszystkich sił, przechodzili siebie samych, a publika i tak lgnęła do mnie. Z czasem poproszono mnie, oczywiście nie odgórnie, ale oddolnie, abym zaczął oprowadzać po niemiecku.

Początkowo nie chciałem na to przystać, ale ponieważ to od nich, od miejscowych Niemców wyszła ta inicjatywa – jako że moim głównie francuskim i walońskim grupom często towarzyszyli niemieccy opiekunowie – ponieważ więc od nich to wyszło, a utrzymać się z samych oprowadzeń francuskojęzycznych nie było łatwo, z czasem więc się na to zgodziłem. Moja decyzja okazała się wprawdzie trafna, gdyż w dość szybkim tempie zaczął się powiększać kontyngent mojej klienteli na tyle, że mogłem się właściwie utrzymać z samych grup niemieckich, ale reakcje moich niektórych kolegów i koleżanek po fachu nie należały do przyjaznych, a paru i parę z nich zaczęło od pewnego momentu mniej lub bardziej otwarcie przeciwko mnie intrygować. Kierownictwo mojego macierzystego muzeum w Kolonii było wprawdzie zadowolone, gdyż z czasem stałem się czymś w rodzaju jednego z głównych znaków firmowych tej placówki, ale moja dobra passa urwała się, od kiedy na stanowisku jednego z muzealnych pedagogów zatrudniona została Miguela Vattari, dobrze mówiąca po niemiecku Włoszka (choć jej imię, zdaje się, miało hiszpańskie pochodzenie), w której żyłach płynęła – jak mi to na początku, kiedy nie byliśmy jeszcze na stopie „wojennej”, wyjawiała – także tracka i starorzymska krew; co zresztą, zważywszy na jej ciemnozielone, „nerońskie” oczy, wydało mi się od początku wysoce prawdopodobne. Nawiasem mówiąc, była to ta sama Miguela, o której wspominałem w poprzednim zeszycie mojego pamiętnika – nie dodałem tylko wówczas, że przenieśliśmy się już wtedy do Kolonii, otrzymawszy z Niemiec pozytywny odzew na moją aplikację.

Na początku byłem nią zauroczony, była bowiem kobietą niezwykłą. Bardzo szybko okazało się jednak, że i ona jest zauroczona, tyle że nie mną, a inną moją koleżanką po fachu, z pochodzenia Greczynką, która wprawdzie ukończyła w Niemczech, zaczęta wcześniej we Włoszech, w samym Rzymie zresztą, historię sztuki – czego ja niestety o sobie nie mogłem powiedzieć, miałem bowiem za sobą tylko studia kulturoznawcze, co z czasem stało się zresztą oficjalnym pretekstem, żeby się mnie pozbyć – ale która to Greczynka, czego nie dawało się

ukryć, bardzo jakoś słabo mówiła po niemiecku, w każdym razie dużo gorzej ode mnie. Nie miałyby więc w ogóle wzięcia, gdyby nie jej uroda i... moje polecenia wśród klienteli. Staraniem się bowiem jej pomóc, i to nie tylko dlatego, że była istotą niezwykle urodziwą i promieniowała urokiem sympatycznej, wiejskiej, nieskażonej cywilizacją dziewczyny, mimo że była już dobrze po trzydziestce i mimo że miała za sobą nieudane małżeństwo z jakimś osiadłym we Włoszech Grekiem, a nawet nosiła jego z włoska brzmiące nazwisko – Kalikanti – i w dodatku była mamusią paroletniego synka, którego zresztą bardzo kochała i w wychowywaniu którego pomagała jej jej młodsza siostra, także osiadła z nią w Kolonii; nie, nie tylko dlatego starałem się jej pomóc. To, co mnie w niej pociągało, co wzbudzało we mnie dla niej przychyłność, to była także ta jej niewymuszona prostota, bezpośredniość i ten jej wewnętrzny „konik”, którego usiłowała wprawdzie jakoś utrzymać na wodzy, ujechać, ale który mimo to dosyć często pozwalał sobie na swoje niekontrolowane „iiihaaaa”, objawiające się w spontanicznych wybuchach radości dosiadającej go dżokejki. Tak, trzeba to przyznać, Eleni była nieźle postrzelona, mimo że jej zagrywki zdawały się pochodzić z obozu treningowego, rozpościerającego się pomiędzy opłotkami peloponeskiej wioski, gdzie trzeba było myśleć prosto i logicznie, żeby nie zostać posądzonym o jakieś niebezpieczne odstępstwo od normy. Ale to, co na jej losie także być może istotnie zaważyło, to był jej czasowy pobyt w internacie pewnego bardzo starego żeńskiego klasztoru, w którym jako zakonnica przebywała jedna z jej ciotek. Dużo ważniejsze było jednak, że Eleni miała w sobie coś, co mają w sobie tylko kobiety, których drzewa genealogiczne zdają się sięgać prapoczątków istnienia ludzkości, jakąś twórczą energię, o której można by powiedzieć, że wywodzi się jeszcze z Olimpu lub jakiegoś innego, nieskażanego ludzką stopą miejsca, dokąd wstęp miałyby tylko te rzadkie, pełne owej niewysłowionej, niepokalanej radości, szczególne „okazy” młodych dziewczyn, albo raczej dziewczyny-nimfy, które nic nie utraciły jeszcze ze swojej dziecięcej czystości i witalności.

Jako taka stała się Eleni naturalnie także z miejsca jedną z faworyt Migueli. Miały częste okazje, żeby się ze sobą widywać, na przykład podczas planowania programów edukacyjnych dla młodzieży szkolnej, w czasie różnych imprez, ale także prywatnie, niby to pod pretekstem konieczności omówienia różnych problemów i układania grafików, za co Miguela niemal od początku swojej pracy w muzeum była odpowiedzialna. Ich przyjaźń stawała się więc z dnia na dzień coraz to bardziej zażyła, choć Eleni nie okazywała Migueli tyle wylewności czy też wdzięczności, ile by jej się właściwie za jej zaangażowanie na rzecz Eleni należało. Z czasem jednak Miguela nauczyła się tak rozpracowywać grafiki dla przewodników, że właściwie przestałem się z Eleni na stopie zawodowej widywać. W zamian za to coraz częściej zaczęła mi się „podstawiać” Miguela. Nie na tyle często jednak, żeby inni mogli sobie coś pomyśleć. Stosowała przy tym taktykę intensywnego owijania sobie mnie wokół palca przy okazji wszelkich wspólnych spotkań towarzyskich, ale jednocześnie unikała mnie w sytuacjach sam na sam. Owszem, owszem, parę razy umówiła się ze mną nawet na kawę, żeby wspólnie omówić jakieś tam sprawy zawodowe, robiąc przy tym nawet wrażenie kogoś, kto właściwie się ze mną spotyka dla mojego własnego dobra; niemniej wszelkie moje próby sprowadzenia naszego sam na sam na grunt prywatny, męsko-kobięcy, spalały zawsze na panewce. Nie powiem przy tym, żebym jakoś szczególnie nachalnie zabiegał o jej względy. Od początku wychodziłem z założenia, że Miguela jest trans, bo za bardzo mi się podoba, za bardzo mnie pociąga, a wiedziałem przecież z doświadczenia, że nie zakochuję się w kobietach jednobiegunowych czy też symetrycznie biegunowych, a tylko – poza nielicznymi wyjątkami – w tych, które noszą w sobie ową bolesną tajemnicę, że tak naprawdę są kimś innym, niż są. Na początku, zanim jeszcze na scenie pojawiła się Eleni, rozmawialiśmy ze sobą o wiele częściej i intensywniej, i Miguela nie raz mi mówiła, że dyskutować ze mną sprawia jej wielką satysfakcję. W tych dyskusjach wykraczaliśmy naturalnie często poza sferę zawodową, a mogę nawet powiedzieć, że pomogłem jej sobie uświadomić, że należy do linii amazonek, co

zresztą sama kiedyś werbalnie potwierdziła:

– Jestem amazonką – powiedziała i zaczęła okładać piąstkami pewnego typu, który usiłował się do niej na moich oczach przytulić, kiedy wyszła na chwilę na papierosa (bardzo dużo paliła) i usiadła na jednej z kilku zagubionych na przymuzealnym zielonym skwerku ławek. Włożyła jednak w tę akcję tyle wdzięku i tak kobieco i łagodnie zmodulowała swój raczej dość szorstki głos, że gdybym był na miejscu tego typu, to byłby to dla mnie raczej powód, żeby się w niej zakochać, niż do niej zniechęcić. Tyle że ten typ, zastępca dozorczy zresztą, był zwanym gejem, chociaż wszystkie kobiety miały go za wielce nachalnego „nimfomana”, i przeprowadził tę akcję na moich oczach tylko po to, żeby w nich, w moich oczach właśnie, za takowego, czyli za pederastę, nie uchodzić. Chciał w ten sposób zatrzeć niejasne wrażenie, jakie musiał na mnie wyrzucić, kiedy tydzień wcześniej „przytulił się” do mnie od tyłu w windzie podczas wysiadania, a następnie, niby to niechcący, czekając aż otworzą się drzwi, dociskał swoje przyrodzenie do moich pośladków, mylnie zinterpretowawszy fakt, że udzielałem mu wcześniej paru prywatnych interview, czyli odpowiedziałem mu na parę pytań, dotyczących mojego życia osobistego, kiedy to podczas pauzy znalazłem się z nim sam na sam w muzealnym bufecie (który w zasadzie posiadał rangę kawiarni) albo kiedy parę razy wyrastał mi nagle przed nosem, niby to przypadkowo mnie gdzieś po drodze spotykając. Jego zachowanie nie dlatego nabierało takiej negatywnej rangi w moich oczach, że bałem się o własną skórę, o to, że mógłby mnie fizycznie zgwałcić, ale dlatego, że takie zachowanie podkopuje fundamenty wszelkiego zaufania w stosunkach międzyludzkich. Bo czy można winić kogokolwiek o orientacji homoseksualnej za to, że z miłości i okazując dobre serce, przytula do siebie osobę tej samej płci, choćby i dziecko, aby okazać mu trochę ciepła lub dać znać o swojej życzliwości? Nie!! Po stokroć nie! Nie jest to żadne nadużycie, dopóki nie nastąpi tak zwany akt pożądliwości seksualnej. Toteż także ci, którzy niesłusznie bądź wręcz fałszywie innych o takie

nadużycia oskarżają, zasługują sami na dużo większą karę, gdyż podkopują podstawy zaufania do dobrych intencji, jakie ludziom przyświecają. Z tego samego jednak względu – rujnowania wzajemnego zaufania w stosunkach międzyludzkich – nadużycia w sferze seksualnej lub też traktowanie seksu jako środka do osiągnięcia egoistycznych, strategicznych celów, są taką straszną zbrodnią. Okradają one nas bowiem – zarówno takie nadużycia, jak i fałszywe, kłamliwe świadectwa i oskarżenia w tym zakresie – najdotkliwiej z godności ludzkiej i odbierają nam możliwość okazywania miłości bliźnim. „Miłość bliźnim ma prawo, jeśli nie obowiązek, okazywać każdy człowiek” – powiedziała kiedyś Su. I chyba nie tylko Su jest tego zdania.

Dlatego oczywiście popierałem (co się zresztą chyba już w moim życiu nie zmieni) wszelkie miłosne i przyjazne odruchy oraz okazywanie miłości i sygnalizowanie miłostego zainteresowania, i nie miałem do nikogo pretensji, że jest, jaki jest, i do niego też nie, ani do Migueli, ale przecież jej słowa o byciu amazonką nie były skierowane do niego, tylko do mnie, bo on, turecki Kurd z pochodzenia, nie znał się ani trochę na przedosmańskiej mitologii, jako że całe jego wykształcenie opierało się na znajomości urywków z Koranu; o czym Miguela zresztą dobrze wiedziała. Kiedy więc po chwili, dalej okładając go niby to pięściami (papierosa położyła za sobą, na brzegu ławki), powtórzyła jeszcze raz z naciskiem: „Ja jestem ama-zon-ką! I ciebie pokonam!”, to pomyślałem sobie, że mnie chce chyba pokonać, a nie jego, zaś jej krótkie spojrzenie w moim kierunku, kiedy wymawiała te słowa, zdawało się to moje wrażenie tylko poświadczać. Sytuacja była doprawdy podwójnie komiczna, jako że ona przecież myślała, że on na serio czegoś od niej chce, tak jak wielu innych mężczyzn w jej trzydziestoparoletnim życiu, a on symulował tylko swoją do niej sympatię, żeby mi „udowodnić”, że nie jest homo, czyli dla tak zwanej niepoznaki, nie biorąc przy tym zresztą zupełnie pod uwagę faktu, że nawet gdyby jego chęci w stosunku do Migueli były całkiem szczere, to musiałby jeszcze uzyskać aprobatę przedmiotu swoich siermiężnych zalotów, o co bez

powodzenia starało się już przed nim wielu bardzo władnych adoratorów. Dla niego jednak Miguela była tylko kawałkiem ciała, posiadającego parę wybrzuszeń i parę śluz, z jakich niektóre nadawały się co najwyżej do spuszczenia nadmiaru wody z kałuży jego pożądania, stymulowanego zresztą w jego wypadku głównie przez męskich współbliźnich. Bo wystarczyło przecież sobie wyobrazić, że jedna z tych śluz przynależy do któregoś z nich i już bez problemu można było nie tylko spuszczać tę wodę, ale i płodzić potomstwo – najwidoczniejszy dowód męskości głowy muzułmańskiej (albo raczej „patriarchalnej”) rodziny. Ale czy księżniczka Miguela była właściwym obiektem, aby symulować męską potencję w stosunku do kobiet? Tym bardziej, że przez ostatni rok ów miłośnik wdzięków płci pięknej zupełnie nie zwracał na nią uwagi, lecz dopiero przed paroma dniami, przyuważywszy, jak jej się tęsknie przyglądam, nagle otrzeźwiał, dochodząc do tego (uczynionego dla przekonania mnie o swojej heteroseksualności) wniosku, że ona jest i dla niego atrakcyjną kobietą. Przy czym dla mnie nie miało żadnego znaczenia, jaka jest jego orientacja seksualna, bo przecież nie można nikogo obwiniać za to, że jest, jaki jest. I mnie także nie przyszyłoby do głowy go o cokolwiek obwiniać. Trzeba jednak przyznać, że pewne – pozbawione oparcia w miłości bliźniego – tradycje kulturowe bardzo negatywnie odnoszą się do tego rodzaju inności, stąd też tak wielu „innych” tuszuje najstaranniej swoje wrodzone skłonności. Czy jest to doprawdy potrzebne? Czy nakazuje to Koran albo Biblia? Czyż Koran i Biblia nakazują obłudę i dwulicowość na miejsce szczerości intencji i modlitewnego zawierzenia? I czy nie skazuje to ich samych, tych wewnętrznie jakąś obcą psychę spolaryzowanych, na wieczne ukrywanie się pod spódnicą cioci dulszczyzny? I czy to nie prowadzi do faktycznego rozpadu życia małżeńskiego i rodzinnego? I to rozpadu w skali światowej? Do fałszu, cynizmu, niekontrolowanej agresji, bestialstwa, zapijania się w trupa, w ogóle do wszelkich nałogów, do nienawiści dla płci przeciwnej, często pod płaszczykiem pozornej życzliwości...



Parę tygodni później jeden z moich niewielu naprawdę życzliwych kolegów po fachu, z którym zresztą byłem po imieniu i który, choć młodszy ode mnie, pracował w charakterze przewodnika już te parę lat dłużej niż ja, oznajmił mi ni stąd ni zowąd, kiedy czekaliśmy na dużą grupę zwiedzających, którą mieliśmy między siebie podzielić, że Miguela Vattari jest razem, i to już od prawie roku razem z Berndem Grosburgiem, kierownikiem działu edukacyjnego muzeum i jednocześnie jednym z dwóch zastępców dyrektora. Zszokowało mnie to nie tylko dlatego, że nie przyszłoby mi nigdy do głowy, że oni mogą być w ogóle razem, choć Miguela przed paroma tygodniami, jakby mając jakieś przeczucie, że sprawa może wyjść na jaw, a nie powinna, bo dyrektor muzeum, homo zresztą, bardzo nie lubił, żeby jego męscy współpracownicy wchodzili w jakiegokolwiek powiązania z podległym im damskim personelem, choć więc Miguela niby to mimochodem mi wyjawiała, że z kimś jest, to jednak, jak mówię, nie przyszłoby mi do głowy, że właśnie z nim, bo właściwie byłem przekonany, że on jest homo. Moje przekonanie bazowało zaś na wyniesionych z obcowania z nim doświadczeniach. Byłem z nim niemal od samego początku na ty i choć nigdy wprawdzie nie usiłował mnie fizycznie do czegokolwiek prowokować, to jednak traktował mnie zawsze jak przyjaciela, niemal się podlizywał, a kiedyś nawet odwiedził mnie w domu i pomógł mi wbudować nowy procesor w moim komputerze. Co prawda już wtedy wzbudził tym moje podejrzenie, bo, myśląc, że się nie zorientuję, podczas instalacji systemu operacyjnego (używałem wtedy jednej z wersji Linuxa, zresztą z jego podstępnej namowy, bo jako użytkownik Linuxa nie miałem dostępu do pewnych programów, które umożliwiały mi intensywniejszą współpracę z muzeum w trakcie realizacji niektórych projektów) wpisał mi jakieś „cookies”, haczyki, za pomocą których najwyraźniej chciał coś u mnie kontrolować albo może w jakiś inny sposób mnie wykorzystać, ale był przy tym tak miły, szczery, no do rany przyłoż, więc naprawdę nie przyszło mi do głowy, że może chodzić tylko o kontrolę nade mną i z czasem – o pozbycie się mnie. Dałbym też sobie uciąć rękę, że kto jak kto, ale Miguela nie mogłaby mu w tym

wtórować i że jej otwartość, te wszystkie szczere dyskusje ze mną, to jej dobre serce, te wszystkie jej zażegnania się na własną uczciwość i prostolinijność, że to wszystko nie mogłoby jej pozwolić na ukrywanie się za jego plecami, na to wraz z nim szefowanie. Tym bardziej, że jeszcze do niedawna utrzymywała, że żyje sama, że po rozwodzie ze swoim eks zastanawia się jeszcze, co ma zrobić, czy dalej samotnie wychowywać swoją nastoletnią córkę, czy też się może jednak z kimś związać. Na początku przez dłuższy czas bardzo chciałem być tym kimś. Ale skoro ona, ta kobieta ideał, ta łagodna wróżka i ta zmysłowa piękność w jednej osobie, skoro ona mówi „nie”, bo chce być uczciwa ze sobą i potrzebuje czasu, żeby się otrząsnąć ze swojego małżeńskiego kryzysu, i, co tak niezwykle często podkreślała, chce być traktowana jak człowiek, a nie jak „bezwolna lilia”, nie jak, chciałoby się powiedzieć, nie jak kobieta... Skoro więc ona chce w tej samotności dojść do siebie i sobie wszystko jeszcze raz przeanalizować, to przecież diabeł by się nie domyślił, że jednocześnie harcuje za moimi plecami ze swoim szefem, za plecami nas wszystkich, żyjąc w tej zmowie milczenia, zdawałoby się, tylko po to, żeby dyrektor muzeum się nie domyślił, że jego zastępca i ona są razem.

Następnego dnia nabyłem piękny bukiet kwiatów i wręczyłem go Eleni. Była w siódmym niebie, jeszcze nigdy nie widziałem jej tak szczęśliwej, już sam fakt, że jej surowych, peloponeskich warg nie opuszczał przez cały dzień pełnoformatowy uśmiech, ogarniający zresztą całą jej fizjonomię, zwłaszcza jej ciemne, olbrzymie oczy, uśmiech pełen tego najświeższego uroku i szczerości, jaką przepełniają pierwsze, te najbardziej spontaniczne i tak pociągająco urocze harce dopiero co narodzonego źrebaka... Fascynowała sobą wszystkich od rana do wieczora. A że był to w naszym muzeum rodzaj otwartego dnia, na zakończenie którego zostaliśmy jeszcze wszyscy przez kierownictwo zaproszeni na mały bankiet, miałem możliwość obserwować Eleni prawie przez cały czas; i muszę powiedzieć, że zakasowała w tym dniu samą tracko-rzymską księżniczkę

Miguelę.

Ale nie bez konsekwencji. I to głównie dla mnie. Dzień później bowiem wydarzyło się dziesięć rzeczy, a wszystkie należały z mojego punktu widzenia do tych najważniejszych w życiu.

Po pierwsze Miguela, dobrze wiedząc, o której kto z nas oprowadza (choć czasami zdarzały się z zaskoczenia prywatne grupy, ale to były wyjątki), bo przecież to ona sama robiła grafik, przeszła się do kawiarni, gdzie siedziałem między pierwszym a drugim oprowadzaniem, i udając, że jest z kimś umówiona, odczekała parę minut na stojąco przy bufecie, po czym niby to już zamierzała wyjść, ale przechodząc koło mnie zwołniała i zachowała się tak, jakby chciała, żebym ją zagadnął. Nie miałem z tym problemu, w końcu przegrałem u niej wszystko, co było do przegrania, a po tym, jak się dowiedziałem, że jest razem z Berndem Grosburgiem, moim „przyjacielem”, byłem niemal gotów zdzielić ją w policzek. Tak naprawdę bym tego jednak nigdy nie zrobił, nie pozwoliłby mi na to ten mój wewnętrzny chrześcijanin, i te jej oczy, które emanowały taką szczerością i mądrością, taką uczciwością i otwartością, że nie można było choćby przez chwilę nie poczuć się wobec niej uległym, jeżeli pochwyciło się już jej spojrzenie.

– Chciałem cię o coś zapytać – powiedziałem, niemal nie podnosząc wzroku. Byliśmy prawie sami. W przeciwległym rogu siedziała tylko jakaś jejmość w wieku przedemerytalnym i zdawała się być zajęta czytaniem gazety.

Miguela przystanęła, zachowując się tak, jakby właśnie czekała na te słowa.

– Słucham – odpowiedziała, niby się przedtem chwilę wahając.

– Naprawdę jesteś z Berndem?

Drgnęła. Najwyraźniej poczuła się nieprzyjemnie zaskoczona.

– Skąd wiesz, kto ci powiedział?

– To nie ma znaczenia.

– Kto ci powiedział?... – przez chwilę miała chyba jeszcze nadzieję, że zdradzę jej kto, ale w końcu dała za wygraną.

– Mówiłam ci, że z kimś jestem. A czy to takie ważne z kim?

Wstałem. Mówiła mi, to prawda. Dwa tygodnie temu. Tylko że przedtem rok mnie wodziła za nos. A z przerwą łącznie prawie dwa lata.

– Tego nie robi się z szefem w ukryciu. Nie wiesz o tym? W każdym poradniku można to przeczytać – prawie ją ofuknąłem.

– Na naszą pracę nie miało to wpływu. Pracowaliśmy profesjonalnie.

– Jak ty ze mną rozmawiasz?

Patrzyłem jej prosto w oczy. Nigdy nie miałem z tym problemów, jakbym był jej starszym bratem albo nauczycielem. Albo w każdym razie kimś, kto niczego od niej nie oczekuje, nie jest więc splątany węzłem jej zaborczej namiętności ani też naiwnym oczekiwaniem na jakiś krótki happy and w windzie albo w jednym z tych miejsc, o których wszyscy wiedzą, że gdzieś istnieją, ale nie potrafią ich sobie często realnie przed faktem wyobrazić. Patrzyłem więc bez skrępowania w jej oczy, które były oczami erotomanki i dziewicy zarazem. A ona wyczuwała to moje zbyt uczciwe spojrzenie i zadawała sobie zapewne pytanie, dlaczego nie patrzę na nią tak, jak inni, i być może się obawiała, że tym moim bardziej namiętym i płomiennym spojrzeniem obdarzam jakąś inną kobietę, a konkretnie jej niedoszłą przyjaciółkę Eleni. Nie wiedziała więc, jak zareagować, żebym znowu stał się jej wasalem, jej – lecz w żadnym przypadku nie jej narzeczonej. Moje następne słowa, które być może były już tylko jakąś skargą, a być może jakimś jednak jeszcze desperackim rzutem na linę, jakimś ostatnim

błyskiem nadziei na wzbudzenie jej wzajemności, słowa te zdawały się jej nie ułatwiać tej próby nawiązania ze mną kontaktu wbrew sobie samej:

– Nie mogę tego więcej słuchać!

Miguela była całkowicie zaskoczona moją reakcją i stała bezradnie jak uczennica, którą właśnie – zasłużenie – ochrzania nauczyciel.

– Jak ty ze mną rozmawiasz?... – kontynuowałem. – Jakbyśmy byli na rozprawie sądowej.

Nadal rozsądnie milczała. Zapewne byłaby gotowa – jak stała – zrobić to ze mną w pobliskiej toalecie, gdyby to miało odciągnąć mnie od Eleni. Mimo że przecież wiedziała, że ze mną taki numer nie przejdzie, że ja nie jestem z tych. Nie rozumiała, za co ją kocham. Ale po tym wszystkim, co z nią przeszedłem, ja też tego nie rozumiałem. Więc zakończyłem moją desperacką próbę jeszcze jednym rzutem na linę:

– Nie wiesz, jak ja byłem w tobie zakochany?

– Ty byłeś we mnie zakochany? – podchwyciła natychmiast. Pytanie to zadała, kładąc sobie rękę na sercu, jakby o tym rzeczywiście wcześniej w ogóle mogła nie wiedzieć. Jakby właśnie usłyszała coś, co już dawno chciała usłyszeć. Szkoda tylko, że tak naprawdę nie chodziło jej o mnie, tylko o Eleni. Jak ona w ogóle śmiała zadać mi to pytanie: „Ty byłeś we mnie zakochany?”

Wytrąciło mnie to z równowagi. O stanie moich uczuć dobrze wiedziała. Oświadczyłem jej się nie tylko ustnie, ale też pisemnie. I dostałem od niej zarówno pisemnie, jak i ustnie odmowę. A teraz udawała, że nic o tym nie wie. Tak jakby chciała zacząć ze mną wszystko od nowa. To graniczyło ze skrajną wręcz bezczelnością. Co ona chciała przez to osiągnąć? To jej szczere spojrzenie... Może więc jednak nie chodziło jej o Eleni?

– No oczywiście, że byłem zakochany. Nie wiesz już o tym? Dostawałem skrętu kiszek przez ciebie, tygodniami nie mogłem spać... Ja też mam ciało, a na ciebie moje ciało jest czułe jak instrument. Wiesz, jak ja się męczyłem? Mało co mnie nie wykończyłaś. Ale teraz zakochałem się w Eleni... – te ostatnie słowa uwięzły mi prawie w gardle, dostałem jakiegoś skurczu, tak jakby za karę, że chcę ją okłamać. Ale czy ja chciałem ją okłamywać?

– Ja nie mówię, że to była twoja wina – wyrzucałem jej dalej.  
– Ale ty byłaś główną przyczyną, że się mało co nie wykończyłem. Więc nie pytaj się mnie teraz...!

Wypowiadając tę kwestię, zacząłem postępować w jej kierunku, ale nie tak, jakbym chciał bliżej niej się znaleźć, ale tak, jakbym chciał ją od siebie odpędzić. Miałem dosyć jej zwodów. Kiedy więc wyczuła sprawę, cofnęła się do tyłu, rzeczywiście jakby w obawie, że może mnie w moim obecnym stanie co najwyżej zupełnie wyprowadzić z równowagi. Przed chwilą chciała coś chyba powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, może nawet naprawdę była gotowa skończyć z Berndem i zacząć teraz ze mną, może uznała to za jedyną metodę odciążenia mnie od Eleni; ale o jeden kryzys życiowy już mnie przed rokiem przyprawiła, a teraz nieuchronnie nadciągał drugi, nieuchronnie, bo przecież to, co ona mi zrobiła, to był dla mnie szok, z którego nie potrafiłem się w żaden sposób otrząsnąć, to były jakieś fatalne psychiczne sidła, w które wpadł mój cały system nerwowy i w których został on poddany działaniu napięcia wielokrotnie przekraczającego granice mojej znamionowej wytrzymałości. To jej niewinne „Ty byłeś we mnie zakochany?”... Gdybym jej tak dobrze nie znał, gdybym nie wiedział, że od roku sypia ze swoim szefem, który być może zresztą jest dla niej tylko kolejnym szczeblem na drabinie jej logicznie wytyczonego azymutu...

Teraz zrozumiałem nareszcie słowa, które przed rokiem – przytulając do siebie swoją córkę i jednocześnie posyłając mi z niebezpiecznej odległości poniżej jednego metra jeden z tych

swoich niewinnie namiętnych uśmiechów – wyśpiewała mi prosto w twarz, jakby czekając na moją aprobatę:

– Robię to dla mojej córki!

Teraz nareszcie więc zrozumiałem, co wtedy zrobiła.

A on był przekonany, że ten jego wypasiony bebecz, że te jego przesłodzone uśmiechy bobra, któremu u stóp spoczywa najczarowniejsza w pobliskim zagajniku łania, nie mogąc wyjść z zachwytu nad jego bobrzą umiejętnością ścinania drzew, był on zaiste przekonany, że ta jego introwertycznie wysublimowana inteligencja i ten jego introwertyczny spokój, i jeszcze ten jego bobrzy urok, jak mu się zdawało, wyrafinowanego multiinstrumentalisty, umiającego grać na tych pięciu instrumentach, które stoją na brzegu jego bajorka, oczarowały ją do tego stopnia, że stała się jego własnością, a przy tym jego pełnym najintymniejszej kobiecej magii, zasłużonym, życiowym szczęściem.

Mylił się wielce. Miguela przedkładała nad wszystko bezwzględność w dążeniu do celu. Skoro bowiem nie mogła w inny sposób się zrealizować, skoro nie mogła być tym, kim jest, czyli mężczyzną, to postanowiła grać rolę kobiety do końca, nie rezygnując ze swoich kobiecych atutów, których miała hektary i którymi potrafiła bez zażenowania zasiewać dowolne wybrane połączeni męskości.

Dlatego byłem dla niej zagadką. Bo tak ją uwielbiałem, a jednocześnie tak panowałem nad sobą. Kiedyś postanowiła więc to w sposób szczególnie spektakularny (żeby nie powiedzieć nachalny) wypróbować i mnie o to spytała, podczas gdy staliśmy koło siebie bez świadków; przysunąwszy się przy tym do mnie tak blisko, że nie pozostawiało wątpliwości, o co jej chodzi. Niestety była to z jej strony próba właśnie, chęć zdefiniowania stopnia jej atrakcyjności w moich oczach – co stanowiło dla mnie jakościowy uskok na najniższy szczebel, grę o pozory, o którą mi przecież nie chodziło; bo kochałem ją

mistycznie, całą duszę i całym ciałem, jak kocha się kogoś, za kogo by się poszło do komory gazowej albo na płonący stos. Powiedziała wtedy:

– Wszyscy mężczyźni próbują to u mnie robić.

A wypowiedziawszy te słowa, chwilę wyprężyła się w moją stronę, skracając te strategiczne dziesięć centymetrów na osiem, a może nawet na chwilę na pięć czy cztery. Ale ja byłem przeszkolony. I to nie przez byle kogo – przez Ataję. Miguela zaś, przy całym swoim powabie, przy swoim całym zwierzęcym erotyzmie i magnetyzmie, i przy tych swoich tragicznie smutnych, diabolicznie pociągających oczach, była przy Atai jak jej służąca; i to nie ta najwyższa rangą. Przeszkolony więc przez Ataję – ale i rozdarty na krzyżu, na którym wraz z tragedią gehenny, jaką przeszła Aiysha, stałem się zimny i zdolny do tego, aby z pogardą lekceważyć atawistyczne reakcje swojego ciała – coś jej teraz odpowiedziałem, coś, co miało nie tyle usprawiedliwić moje zachowanie, ile jej nie urazić, nie urazić jej wewnętrznego przekonania o jej nieporównywalnej atrakcyjności, słowem więc, nie urazić jej poczucia własnej wartości; ale też nie narażać mnie na pozostanie jednym z jej cierpiętniczych wasali. Powiedziałem zatem coś w rodzaju (byliśmy jeszcze wtedy na pan):

– Ale ja panią kocham.

Słowa te wyrzekłem naturalnie ze szczerością samobójcy, któremu diabeł właśnie zawiązuje stryczek na szyi. A następnie syknąłem jeszcze na już i tak zbyt wysoką górkę:

– Jest pani wyjątkowo piękną kobietą.

„Ale – chciałem już dodać – ja kocham twoją duszę. A twoje ciało jest tylko marnym do niej dodatkiem. Jesteś niezwykła kobietą... O pardon, człowiekiem.”

Dzisiaj już bym tego nie powiedział. Dzisiaj szybowałem lotem korkociągowym w dół.



I tylko się zastanawiałem, gdzie się zdesantuję. Bo czyż nie wszystko zależy od tego, na co się upada? Problem polega jednak na tym, że wcześniej się tego nigdy nie wie. Ale kiedy odcięło się w locie liny od swojego spadochronu, nie ma się już potem czasu nawet na improwizację: stery nie funkcjonują, skrzydła mają za mało czasu, żeby wyrosnąć, mózg staje. I jest się straceńcem.

Ja jednak byłem straceńcem z wykształcenia. Nie potrafiłbym podać nazwy uczelni, na której dali mi papiery, ale myślę, że to zaczęło się wtedy, kiedy odwiedził mnie król-duch.

Była wtedy noc. Zresztą najczęściej jest wtedy noc. Spaliśmy we trójkę w drugim pokoju: ja, moja siostra i pomoc domowa, ciocia Barbara. Jako człowiek dorosły sam się tylko potem zastanawiałem, dlaczego wtedy tak wrzeszczałem. Wszystkich domowników postawiłem na nogi.

A potem ludzie ci mówią, że masz przywidzenia. Polecają ci jakieś tabletki uspokajające, prowadzą cię za rączkę do neurologa. Ale czy można zostać wariatem w wieku czterech albo pięciu lat? „To nie – słyszysz odpowiedź. – Ale może... epileptykiem.”

Nigdy nie byłem, nie jestem i nie będę epileptykiem. Przysięgam. Ale muszę przyznać – po tym można zostać epileptykiem. Zwłaszcza kiedy człowiek zbyt usilnie się broni; i nie dopuszcza do świadomości faktografii spoza własnego wymiaru. Krótka więc przestroga – kiedy widzisz kota, widzisz czasami tylko koniec czegoś, co zupełnie inaczej w rzeczywistości wygląda. Podobnie jest z psami, niemniej... chyba nie na darmo nie lubią one kotów.

Ale powróćmy do rzeczywistości. Ma ona tyle uroku. Zwłaszcza tego niewidzialnego. Tego, który odrąbuje ci palce, a może ręce i nogi, pozostawiając ci jednak twoją głowę jakby mimowolnie do dyspozycji. Żebyś nie zapomniał; i żebyś nie zapomniała.

Czy ktoś nie powiedział, aby wyrąbać sobie oko, jeżeli nie jest ono jeszcze całkiem wolne od pewnych atawistycznych ciągot? Jak to zwał, tak to zwał. Ale aktualność tego przesłania zdaje się być zadziwiająca. Powiedziałbym wręcz, rośnie ona w oczach, w miarę jak się próbuje być ze sobą szczerym. Zaczyna się wtedy dostrzegać pewne różnice między kotami i psami, myszy nie bierze się już tak na serio, a w uszach zaczynają brzmieć słowa znikąd. I tylko się wie, że to nie są jedynie słowa. I się wie, że większość słów jest na nic. Że są tylko pewne rodzaje słów, pewne zestawy słowne, które jeszcze zasługują na immunitet słyszalności.

Ale mnie nikt nie nauczył tych słów, kiedy byłem dzieckiem. Więc nie mogłem wtedy wykrzyknąć żadnego imienia na swoją obronę. Obronę?... Nie, nie, na przywitanie, na pozdrowienie w imieniu. Na pozdrowienie króla-ducha w imieniu.

Bo to był król-duch, a nie diabeł. Diabeł ma rogi, a on miał królewsko rozpięty pled i koronę. I wyfrunął przez okno.

Miguela nie umiała fruwać. I dlatego zdecydowała się na chodzenie; po ziemi. I... po trupach. Ale gdyby ktoś ją zapytał, czy jej tu za bardzo nie śmierdzi, odpowiedziałyby:

– Ja muszę tu zostać.

A właściwie prawda jest taka, że te słowa wtedy naprawdę padły z jej ust. Tylko że ja jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co one oznaczały. A one oznaczały: „Niestety ktoś z nas musi odejść. Ja nie mogę sobie jednak na to pozwolić.”

To było proroctwo. Jej proroctwo, dotyczące redukcji personelu. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że dzieli z moim „szefem” łóżkowe pielesze. I że mną tak pokierują, żebym się przestawił na inne miejsce pracy. Więc odpowiedziałem jej wtedy:

– Oczywiście, że musisz. Jesteś przecież samotnie wychowującą matką. Nie masz co się martwić. Kto jak kto, ale ty na pewno

zostaniesz.

Miguela nie miała wtedy jeszcze umowy na czas nieokreślony, lecz roczną, przedłużoną z roku do dwóch lat. A ja, choć nie miałem żadnej umowy, zaliczałem się do grona etatowych przewodników, podobnie zresztą jak Gilberto, który wtedy koło nas stał:

– Ależ pani Vattari – powiedział, mimo że był homo i nie pałał do tak atrakcyjnej kobiety jak Miguela szczególną sympatią. – Jakże może sobie pani wyobrazić, że ten interes będzie w ogóle bez pani funkcjonował?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, tylko przez jej jakieś wyjątkowo smutne tego dnia oczy i bladą fizjonomię przeszedł krótki, stłumiony uśmiezek, jakby samozadowolenia. Ale to nie było samozadowolenie. Ludzie, którzy mają w rękach władzę lub też przynajmniej dążą do jej posiadania, takimi rzeczami jak samozadowolenie się nie satysfakcjonują. Jej uśmiezek w rzeczywistości oznaczał:

– Głupcze! Nawet nie wiesz, że twoje słowa są bliższe prawdy, niż mógłbyś przypuszczać.

Wyobrażam sobie, co na tak postawioną kwestię mogłaby jej odpowiedzieć Su:

– Ty nie jesteś bezczelna i bezwstydna, dziewczynko. Ty jesteś kloaką. Smród, jaki wokół siebie rozsiewasz, jest z rodzaju tych nie do zniesienia.

– No cóż – zripostowała by ze zwodniczo pociągającym uśmiezkiem Miguela – grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne tam, gdzie chcą.

– To nie powód, żeby się nie myć – odpowiedziałaby Su.

– A kto powiedział, że ja się nie myję? Myję się codziennie. Nawet włosy myję dwa razy w tygodniu.

– I tak ci to nic nie pomoże. Od czasu, kiedy stwierdziłaś, że jesteś facetem, powinnaś ogolić się na łyso i pójść do jakiegoś zakonu, w którym nie zmuszano by cię do życia w nieczystości. Są jeszcze takie zakony.

– A co z moją córką?

– Córka ma ojca, który ją kocha. Przynajmniej tak samo, jak ty.

– Nie oddam mu jej.

– Dlaczego? Nie ufasz mu? On jest bardziej godny zaufania od ciebie. Wiesz, jak on cię kochał? Wiesz, ile on dla ciebie wycierpiał? A tyś go zostawiła samemu sobie, doszedłszy do wniosku, że nie traktuje cię jak człowieka, tylko jak kobietę. Myślisz, że ten bruchaty, z którym teraz jesteś, będzie dla niej lepszym tatusiem? Moja dobra rada: nie zostawiaj ich nigdy samych. On ma w sobie coś, co kobiety lubią: jest nienasycony. Przy tym argumentuje logicznie, zna się na komputerach i ma się przy nim to poczucie, że żyje się na wolności. Mam nawet takie dziwne wrażenie, że oni już to parę razy za twoimi plecami zrobili.

Miguela wyglądała na dość zszokowaną. Gdyby paliła teraz papierosa, zapewne wypadłby jej z ręki. Jej córka skończyła właśnie czternaście lat, a Bernd, jej obecny dobroczyńca, dobiegał właśnie czterdziestki. I nie stronił przed niczym. Przed niczym, co mogłoby mu przynieść zaspokojenie. Wyznawał zasadę, że każdy sam odpowiada za swoje czyny. Dzieci też.

– Nie martw się – kontynuowała Su. – Ona nie zaszła z nim w ciążę. Bo on, jak wiesz, nie zdaje się w takich sprawach na improwizację. A twoja pociecha nigdy się do tego przed tobą nie przyzna: za dobrze jej z nim było. Nie bądź smutna. To taka nagroda od losu za twoją miłość bliźniego. A propos, teraz też są razem. Na waszym tapczanie.

Miguelę zalało. Odbiegła od nas na stronę i wyjęła komórkę,

żeby zadzwonić. Pech chciał, że przyuważył ją Ginter Mayer, szef do spraw personalnych i jednocześnie prawa ręka dyrektora do zadań strategiczno-menedżerskich. Normalnie może nie powiedziałby słowa, ale ponieważ Miguela wyraźnie usiłowała skryć się za rogiem, odczekał, aż skończyła, i powiedział:

– Czy to była rozmowa prywatna?

Miguela wahała się chwilę, po czym zripostowała:

– Moja córka była w niebezpieczeństwie.

– W niebezpieczeństwie?

– Tak...

– Porwali ją?

– Nie, nie, ale koledzy... Wpadła w trochę niewłaściwe towarzystwo.

– Pani Vattari! To są pani prywatne problemy. A jeżeli musi pani w osobistej sprawie zadzwonić, to proszę iść do biura, a nie tutaj, w holu głównym muzeum. Jasne?

– Tak, tak, oczywiście – wydukała bez przekonania, próbując się niezgrabnie uśmiechnąć. Wiedziała jednak, że jej uśmiechy nie robią na Mayerze takiego obezwładniającego wrażenia, jak na paru innych kolegach i koleżankach. Chyba nawet domyślała się dlaczego. Niektóre nieoficjalne statystyki, dotyczące orientacji seksualnej, gdyby zostały opublikowane, dla wielu byłyby szokujące, może nawet dla większości mieszkańców tej planety.

Gdzie to byliśmy? Aha! Mowa jest o wykańczaniu. O wykańczaniu niewygodnych przeciwników w białych rękawiczkach. Czy Miguela założyłaby kiedyś białe rękawiczki?... Nie. Po co? Przecież postanowiła zostać człowiekiem, a nie kobietą. Dlaczego jednak? Dlaczego była kobietą, a nie mężczyzną? Dlaczego taki los?

„Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego, dlaczego?” – przez wielu tak bardzo często stawiane sobie pytanie. Ale nie przez Miguelę. Ona nie szukała wyjaśnienia, ono ją nie interesowało. Ją interesowało rozwiązanie. I jego szukała.

I właśnie je znalazła. Przed ponad rokiem. Praktyczne rozwiązanie czyli diabelski wyrok – żyć według fizys. Wedle widocznej zasady.

– Nic nie mam przeciwko, żyj jak chcesz – powiedziałem do niej kiedyś. Lub powiedziałem coś podobnego. A powinienem jeszcze dodać:

– Ale... nie krzywdź mnie. I nie stawaj mi w drodze do szczęścia. Jeżeli ja kocham Eleni, a ona mnie, zostaw nas w spokoju, nie niszcz nas. Poświęć się, zrezygnuj. Nie wyznawaj skorpioniej zasady, że skoro sama nie możesz, to innym też nie dasz. Przecież okazałem ci tyle zwanego serca, powiedziałem ci tyle komplementów, starałem się podbudować cię psychicznie na każdym kroku, uświadomiłem ci, że nie jesteś jedyną cierpiącą z rzeczonych powodów... Namawiałem cię, żebyś sobie znalazła przyjaciółkę. Mało tego – szukałem jej dla ciebie. Ale zostaw Eleni. Eleni to nie jest twoja własność. Nie obmawiaj mnie do niej bez przerwy. Nie intryguj za moimi plecami. Chyba że... Chyba że stoi za tobą wyższa moc. Chyba że robisz to, bo musisz. Musisz być zła. I musisz żyć wedle jego, zła, schematów. A jakie to są schematy? Zdradziecki uśmiech na twoich perłowych wargach? Wpuszczanie popłuczyn z jakiegoś obrzydliwego penisa do twojego świętego w założeniu łona? Uszczęśliwianie władcy tegoż penisa szczęściem o tak przerażająco smutnych oczach?

Zostało powiedziane: wydłub sobie oko. Więc wydłub. Jak długo używasz go jeszcze do patrzenia poniżej linii horyzontu, tak długo widzisz przed sobą tę bezbrzeżną pustynię, po której jak zagubiona karawana włóczy się twoje samotne serce.

Więc wyjmij sobie oko. Nie patrz. I zobacz.

– Ja też mogę żyć bez... – dyskretnie wskazała ręką w dół. – I gospodarstwem domowym też się zajmuję. I zajmowałam. I u mojego eks też sprzątam... to znaczy sprzątałam.

Plątała się w kłamstwach. Robiła przy tym wrażenie młodej sarny, która właśnie przemierza jakiś zagajnik pełen głodnych wilków. Kiedy późną jesienią roku dwa tysiące siódmego nagle i właściwie bez powodu złożyła mi to powyższe oświadczenie, nie wiedziałem jeszcze, że jest już od dawna razem z nim, ale że się na nim życiowo (a głównie finansowo) bardzo zawiodła, i że szukała jakiegoś wyjścia z tej pułapki, w którą została przez niego zwabiona, a następnie rozpracowana, skonsumowana (choć lepiej byłoby powiedzieć wyrąbana) i... jest właśnie odstawiana na bok. Bo to była z jej strony propozycja niemalże matrymonialna, mimo że znajdowaliśmy się w towarzystwie pewnej mojej dużo starszej koleżanki z branży. Sprawa musiała być więc pilna. Może jednak miała na oku także jakiegoś innego kandydata oprócz mnie, a może próbowała tylko odwrócić moją uwagę od Eleni. Nie wiem. Ale zachowywała się bardzo dziwnie: nie chciała – a chciała. Zadawałem sobie pytanie: po co ona mnie tak męczy? Czy nie może mi po prostu powiedzieć, że mnie kocha – jeżeli kocha. Albo się po prostu odczepić. Dostyc mnie już udręczyła. Już nie miałem na nią siły. Ale cały czas byłem przekonany, że żyje sama z córką, że tak cierpi, że potrzebuje pomocy. Dopiero później wyszło na jaw, że swoją samotność cały czas tylko fingowała. Gdybym to wtedy wiedział, miałbym pełne prawo, jak to się mówi, rąbnąć ją w pysk.

Wtedy chciałem już do niej powiedzieć:

– O co ci chodzi? Chcesz u mnie sprzątać? Nie potrzebuję sprzątaczkii.

Ale nie powiedziałem. Już zresztą nie pamiętam, czy w ogóle i co jej odpowiedziałem, bo czekała na mnie duża grupa i musiałem się pospieszyć. A Bernd tylko czekał na jakiś mój błąd, żeby mi zrobić kolejne kazanie – miał zakusy na Eleni i stałem mu w drodze. Z jego punktu widzenia Miguela była już

wyżęta i chętnie by się jej pozbył, mimo że do niedawna była jeszcze jego największym szczęściem. On miał jednak w sobie coś z mafiozo albo może raczej z szopa, ale nie tyle z szopa pracza, ile z szopa sutenera. Nie wiedział jeszcze wtedy, że wkrótce przejrzą jego zamiary – i że go uziemią u stóp Miguela na następne dwa lata. Że zrobię aferę i ulegalnię ich związek w oczach wszystkich. I że kiedy dyrektor się o tym dowie, nie będzie miał innego wyjścia, jak zostać przy Miguela. Albo – alternatywnie – wylecieć na zbity pysk.

Więc kiedy wyczuł sprawę, zatrząsł portkami – że nie będzie mógł się potajemnie przerzucić z Miguela na Eleni. Co wszystkim byłoby na rękę. Może nawet Miguela mogłaby przy nim zaznać – jako ta trzecia na jego tapczanie – wdzięków Eleni. Kto wie.

Chociaż nie było to więc w jego zwyczaju, tego dnia Bernd wyszedł z siebie. Mimo że nie znosił napominać innych. Wychodził przecież z założenia, że wszyscy są dorośli i wiedzą, co robią. Jeden z moich kolegów odczuł to też bardzo wyraźnie na własnej skórze. Pewnego dnia został skreślony z wewnętrznej listy współpracujących przewodników, i to tak zupełnie bez słowa. Po prostu nie uwzględniano go więcej w grafikach, a normalnie połowa dochodów u każdego z nas pochodziła ze stałych oprowadzeń. Na przykład u mnie całkowicie prywatne grupy, mimo że przecież miałem swoją klientelę, stanowiły co najwyżej jakieś trzydzieści procent miesięcznych zarobków. Więc skreślenie mnie z wewnętrznej listy oprowadzeń organizowanych przez muzeum, oznaczałoby plajtę.

Kiedy więc tego feralnego dnia – ósmego stycznia dwa tysiące ósmego roku, dnia, w którym wydarzyło się dziesięć rzeczy, z których każdą, jak wspominałem, mógłbym spokojnie zaliczyć do kategorii tych najważniejszych w życiu – kiedy zatem usłyszałem z ust Bernda krótką, ale zaskakująco konkretną listę zarzutów, wysyczaną mi w zaułku holu głównego z odległości trzydziestu centymetrów... Kiedy ją więc usłyszałem,



zaczęły mi się trząść ręce; nie z tchórzostwa, ale z zaskoczenia. Bo to było dla niego niezwykle, żeby tak wychodzić z siebie. A on zdawał się być wyprowadzony z równowagi. Przy czym, poza dzisiejszą rozmową z Miguelą w kawiarni, którą to ona sama zresztą dyskretnie sprowokowała, usłyszawszy ode mnie w następstwie tego parę przykrych być może zarzutów, nie miałem sobie nic do wyrzucenia.

Ale to najwyraźniej o tę właśnie rozmowę chodziło. I o kwiaty, które dziś rano wręczyłem Eleni.

Podszedł do mnie szybkim krokiem. Początek był jeszcze całkiem spokojny, ale w miarę jak mówił, zaperzał się coraz bardziej:

– Chodź, mam z tobą coś do omówienia.

– Za chwilę mam grupę.

– Nie szkodzi, poczekają.

– O co ci chodzi?

– O to, że są określone reguły. I ustanawia je muzeum, a nie ty.

– Co masz na myśli?

– Twoim zadaniem jest oprowadzanie grup, a nie flirtowanie.

– Co?!

– To, co słyszysz! – prawie że się zapluł. – I słuchaj teraz, i mi nie przerywaj. W muzeum są określone reguły. Chyba wiesz, że nie wolno głośno mówić i przeszkadzać innym, prawda? To dla ciebie jest oczywiste. Tak samo nie wolno zagadywać personelu, strażniczek, które stoją na pozycjach. I tak samo twoje koleżanki z pracy to nie są twoje prywatne znajomości, tylko współpracownicy muzeum.

Moje oczy robiły się coraz większe. Ten sam kolega, który mnie niedawno poinformował, że Bernd jest już od dłuższego czasu

razem z Miguelą, stał w stosunkowo niewielkiej odległości i siłą rzeczy docierały do niego fragmenty naszej rozmowy; ale Berndowi zdawało się to być niemal obojętne, tak jakby wykonywał tylko swój obowiązek służbowy. Chociaż z obowiązkami służbowymi ta jego tyrada nie miała zbyt wiele wspólnego.

– W związku z tym ci oświadczam – kontynuował – że nie wolno ci więcej na prywatne tematy z nimi rozmawiać.

„A z kolegami?” – zakołatało mi w głowie. Więc głośno powtórzyłem:

– Z nikim?

– Z nikim na prywatne tematy. To jest praca. A zwłaszcza z Miguelą i Eleni. I nie wolno ci wręczać żadnych kwiatów. To, co prywatne, masz zostawić w spokoju. A przynajmniej w czasie, kiedy jesteś w pracy, na terenie muzeum.

To „przynajmniej” zabrzmiało tak, jakby moja wolność poza miejscem pracy również była ograniczona przez jakieś wyimaginowane przepisy, określające zakres moich swobód osobistych oraz reguły mojego zachowania w stosunku do płci zwanej piękną. Lub „przynajmniej” do niektórych jej przedstawicielek.

– O co ci chodzi? – zapytałem stoicko spokojnym tonem, w którym zapewne pobrzmiwało coś na kształt bezpretensjonalności, jaką z siebie emanują strojone przed koncertem w filharmonii instrumenty. – Chodzi ci o moją dzisiejszą rozmowę z Miguelą?

– O to też. Ale w ogóle o wszystko. O całe twoje zachowanie. I Miguelę też zostaw w spokoju.

– Miguelę? A kto ją zmusza do czegokolwiek? Ja jej nawet nie dotknąłem. Jeden jedyny raz kiedyś podałem jej rękę. Czego ty ode mnie chcesz? Popatrz na siebie... A Miguelą jest inna niż myślisz. Ona też innych prowokuje.

– Miguela?– zaproponował gwałtownie i aż się zachnął, tak jakby była ona powszechnie brana za świętą, a ja byłbym jedyną zakałą, która by tego jeszcze za rzecz oczywistą nie uznawała.

– Miguela! – potwierdziłem.

Najwyraźniej ucichł. Teraz to on chciał wiedzieć, co mam do powiedzenia. Więc rzucił:

– Kogo na przykład... „prowokuje”?

– Bardzo wielu. Kiedy taka atrakcyjna kobieta sprzedaje się jako samotnie wychowująca matka, prawie każdy normalny, samotnie żyjący facet się w niej zakochuje.

– Kto na przykład?

– Kto?... Chociażby pan Stangalo. On jest załatwiony.

– Stangalo? – wyintonował pogardliwie, niemal się ze mnie naigrywając i jakby chcąc dać mi do zrozumienia, że i tak go nie przekonam i że to są moje wysane z palca urojenia.

– Ty jej nie znasz – rzuciłem, bo przecież pod wieloma względami znałem ją lepiej niż on. A przynajmniej tak mi się zdawało. – Ona jest całkiem inna, niż myślisz.

Moja teza znowu zbiła go nieco z tropu, ale wybadawszy, jak sądził, że nie mam już nic istotnego do dodania, zwłaszcza zaś nic, co by wyjaśniało sprawę dzisiejszych kwiatów dla Eleni, powrócił po chwili do poprzedniego tematu.

– Od dzisiaj koniec więc z prywatnymi rozmowami na terenie muzeum. Kiedy znajdziesz się na zewnątrz, możesz robić, co chcesz. Ale nie tutaj, muzeum sobie tego nie życzy. Jest to dla ciebie jasne? Żadnych prywatnych rozmów i żadnych kwiatów.

Ponieważ z natury jestem człowiekiem łagodnym i już przed paroma miesiącami postanowiłem wstąpić do zakonu (co zresztą po moich dwóch mniej więcej tygodniowych, gościnnych pobytach

w dwóch znanych domach klasztornych radykalnie się odmieniło, głównie ze względu na... zbyt świecki, jak na mój gust, sposób bycia i odżywiania się niektórych posługujących tam Panu habitowców, co jednak z kolei w żadnym stopniu nie umniejszało w moich oczach ich zasług dla dobra instytucji Kościoła, a jedynie ukazało mi, że to nie moja droga), zamiast więc, jak to się mówi, dać mu po ryju, spuściłem wzrok, ale nie jak ktoś, kto się kornie wycofuje do defensywy, ale raczej jak ktoś, kto w drodze na Golgotę zaliczył od jakiegoś barbarzyńskiego oprawcy potężny cios prosto pod żebra. Nie miałem zamiaru za to, w dosłownym znaczeniu tego słowa, się mścić i nie miałem nic przeciwko jego związkowi z Miguelą, ale nie uważałem za stosowne być uzależnionym od humorów dziewczyny szefa i brany za kogoś, kto by napastował swoje koleżanki z pracy, podczas gdy to on właśnie, Bernd, w ciągu krótkiego czasu miał już trzecią z nich na warsztacie; i w zasadzie wywindował się podstępnie na to stanowisko, które obecnie zajmował, głównie właśnie po to, żeby zapewnić sobie od góry dostęp do najładniejszych jabłuszek. I do niedawna jeszcze myślałem, zanim zaczął dobierać się do Eleni, że to właśnie Miguela była tym upragnionym owocem, którego tak długo szukał w ogrodzie swoich życiowych doświadczeń. Myliłem się – następna w kolejności była właśnie Eleni. Ale także i Miguela najwyraźniej się na nim zawiodła, bo wyobrażała sobie, że nie tylko jego łóżko, ale i jego konto bankowe połączy ich ze sobą na stałe. I kiedy jakiś czas temu się przekonała, że na to drugie nie ma co liczyć, otworzyła się na nową znajomość. Ze mną. Chcąc przy okazji uchronić przede mną Eleni. Faktem było bowiem, że Miguela od dłuższego czasu nieustannie mnie prowokowała, dobrze wiedząc, do czego mężczyźni – a mnie, jej idealistycznego wielbiciela w szczególności – mogą doprowadzić jej dokładnie zresztą przemyślane, „strategiczne” zaloty. Właściwie zachowywała się w stosunku do mnie jak dealer, który uzależnionego od siebie ćpacza konsekwentnie wykańcza, podrzucając mu ciągle niby to darmowe, ale coraz to większe dawki ulubionej trucizny. Wiedziała, że kocham ją też jak swoją córkę albo jak najukochańszą siostrę, zatem jej

bezpardonowa walka o względy Eleni miała w sobie także coś z bratobójstwa.

Ale jeżeli był to w ogóle jakiś rodzaj walki, to o co ja z nią walczyłem? Czy nie o nią samą? Walczyłem z nią o jej duszę, o jej własną duszę. Bo ona też miała w sobie tę wężowatość.

Miguela bowiem pochodziła w oczywisty sposób z rodu Beliala, kłusownika i demona wyzwolonej niemiłości. Nie wiedziała o tym oczywiście, tak jak i ja nie wiedziałem, że pochodzę z rodu wyznawców Jedynego Prawa. I walka o nasze dusze, Migueli i moją, była też mityczną walką dobra ze złem na tej mikroskali nieskończoności, jaką jest nasze życie, a ściślej – każda jego chwila. Miguela miała więc inne wnętrzości, byłem o tym przekonany. Ją paliło od środka. Z tym że nie tak, jak pali miłosna namiętność, ale tak, jak pali podciekająca pod stopy lawa; kiedy to jedynym ratunkiem jest podać rękę nie wiadomo jak i skąd wyrosłemu nagle przed nosem diabłu; podać albo nie podawać – i zginąć w męczarniach; kwestia wyboru. Miguela wybrała to pierwsze. Tylko czy ona w ogóle wiedziała, że to był diabeł? Nie wiem, ale moim zadaniem było jej chyba to uświadomić. Jednak przegrałem. Przegrałem z diabłem.

– Pochodzisz z nacji proroków – powiedziała kiedyś Su. – Czyli królów, których szatan odsunął od władzy. Ale nie tak, jak sobie to wyobrażają ci wasi niektórzy debile spirytualni, ta spółka z.o.o., której liczni członkowie cierpią na odwodnienie najważniejszych rejonów mózgu. Nawiasem mówiąc, członkom tym należą się z tego powodu wyrazy najgłębszego współczucia, jako że wpadłszy ponownie na ślad czegoś, co można by nazwać resztkowym promieniowaniem duchowym – przez swoją działalność, podszywając się nie raz i nie dwa pod urzędników i dostojników kościelnych, to oni sami zacierają w Kościele ten duchowy ślad resztkowej obecności przykazania miłości w waszym życiu, zgłaszając pod płaszczykiem swojej bałwochwalczej pobożności pretensje do fałszywego tronu Dawida. Ale to nie jest tron, który im się marzy. To jest czarna, bezdenne czeluść. Na zdrowie! Może niektórzy z nich zasłużyli już sobie nawet w

międzyczasie na tytuł lorda? Dla wyjaśnienia – czarnego lorda. Tak?... Oo, to bardzo przepraszam... za niedyskrecję.

– Yyym... – kontynuowała Su. – Co to ja chciałam? Ach, tak!... Doprawdy – nie takim jesteś więc królem. Ta kosmiczna nacja bowiem, do której należysz, była już zawsze przez tych niżej urodzonych niszczone, przez zwolenników Beliala czyli starego Baala (czyli Belzebuba). I to właśnie Kościół miał być instytucją, dzięki której królewska nacja miała przetrwać. Są liczne tego dowody, ale najważniejszym są proroctwa i przesłania, które jak ziemia długa i szeroka przypominają ten mit – mit o świętym rodowodzie królewskiej metafizyki światłości. Dziś wie to już każda rzeka i każde drzewo, wszystko, co żyje, podświadomie wie, kto tak naprawdę jest prawowitym Panem. Tylko wy i wasi uczeni w piśmie tego nie wiecie. Tkwicie w tej swojej połyskującej wiara w waszą atawistyczną inteligencję sadzawce i wydaje wam się, że miarą wszystkiego jest jej smrodliwa bryza. Jest doprawdy rzeczą straszną, że i dzieci światłości muszą się przez tę sadzawkę jakoś w tym życiu przetelepać. I że jedyną bronią, która chroni je od świętokradczej śmierci w oparach tego smrodu, jest męka. I że męka, krzyż stanowi także jedyną możliwość przeciwstawienia się temu atawizmowi, jaki was cofa do rangi bezwzględnie i krwawo walczących o swoje przetrwanie – choć jakże często przyodzianych w lśniące białe rękawiczki – płazów i gadów. Stać się człowiekiem oznacza zaś dzisiaj otrzymać możliwość dokonania skoku w swoim duchowym rozwoju – przez cielesnie odczuwalną metafizykę krzyża właśnie. Dlatego wiara w reinkarnację, mimo że ma swoje archetypiczne podstawy, jest wiara w Belzebuba i jego panowanie. Jest odkładaniem decydującego kroku w nieskończoność. Reinkarnacja istnieje dzisiaj dla tych, którzy są ofiarami swojej nieprawości, nie zaś dla tych, którzy pojęli możliwość wyzwolenia się poprzez świadome skazanie się na mękę. Bo męka jest wyzwoleniem z koła przemian poprzez miłość do Najwyższej Świadomości. Jest przejściem na inną spiralę rozwoju. Spiralę, która krzyżuje się ze spiralą prawęża – władcy piekielnej guberni niemiłości.

I dlatego szatan, belzebub, uzurpując sobie prawo do orzekania, co jest dobre, a co złe, próbuje was przede wszystkim okraść z waszych uczuć, z waszego zanurzenia w stanie łaski uświęcającej, która jest stanem uszczęśliwiającej miłości, otwierającą wam bramy nieba, muzyczną wibracją, jaka w was rozsiewa najpiękniejsze, najgłębsze, zapierające dech w piersiach uczucia; które bestia z guberni niemiłości pragnie wam wszelkimi sposobami i wybiegami odebrać, aby odebrać wam możliwość rozwoju wzwyż. Bo życie bez uczuć, bez uczuciowych kontaktów, życie na znieczulających tabletkach relanium prowadzi do obłądzenia, do faktycznej, duchowej śmierci waszych serc. Ale nie do męki krzyża, która jest oddaniem się do dyspozycji kochającego Boga, rozsiewającego was, dzieci Króla-Ducha, jako te przysłówkowe lilie pomiędzy cierniami. Nikt z was nie narodzi się atoli na nowo – a narodzić się na nowo znaczy w tym wypadku zdać praktyczny egzamin ze sfery uczuć – kto nie umarł z miłości. Taka jest filozofia tego rozwoju. Filozofia ta zwie się zaś religią chrześcijańską.

A Kościół jest uczelnią, instytucją, która ją propaguje i naucza jej zasad. I tak jak w każdej ziemskiej instytucji – ale nie tylko ziemskiej – obecni są w nim oprócz tych szlachetnych i prostolinijnych, także ci podstępni i płazowaci. Nawet nie wszyscy namiestnicy waszego Kościoła byli ludźmi Królowej. Mimo swojej nieprzemijalności Kościół podlega bowiem na tej planecie także wpływowi małwersanta Baalicjusza. Ale i ci przez niego skorumpowani, zwani grzesznikami, zawracali z drogi, spotkawszy Zmartwychwstałego. Przegrał on bowiem – ów belzebub małwersant, z powodu którego namiestnicy kościelni musieli orężem walczyć o przetrwanie kierowanej przez siebie uczelni – w otwartym boju tysiąc bitew, ale jako wichrzyciel wygrał tysiąc potyczek. Dlatego stał się mistrzem unikania konfrontacji, której nie może wygrać, bo jest bezsilnym degeneratem. To, co jednak może, to działać z ukrycia, wykradać się z zakamarków podstępnych niedomówień, deprecjonować to, co święte, do rangi kozła ofiarnego, dosypywać do skrzyni duchowych skarbów trucizny, okradającej

kochające serca z ich uczuć – na rzecz logicznych twierdzeń i spekulatywnych zagadek albo pseudo tajemnic.

– A co do tajemnic... – ciągnęła dalej Su. – Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że reinkarnacja to inne słowo na życie wieczne? Tylko że sformułowanie „reinkarnacja” zdaje się więcej wyrażać, jest łatwiejszą, bardziej uchwytną pożywką dla rozumu. Życie wieczne to zaś tajemnica dostępna jedynie sercu.

Odpowiedziałem wtedy Su, że ja nie wybierałem sobie kasty żyjących wiecznie. I tak było w istocie. Z jednej bowiem strony chciałem stanąć na granicy widzialnego i niewidzialnego i choćby własnym kosztem bronić do niej dostępu równie jak ja niegodnym; z drugiej zaś żyć tak, jak inni. Tylko że ani jedno, ani drugie mi się nie udawało. Po prostu nie udawało.

– Bo nie takie było twoje zadanie – skomentowała Su. – Należałeś bowiem do kasty proroków, czyli posłańców Boga. Wszyscy są posłańcami Boga; ale prorocy różnią się od pozostałych tym, że oni o tym wiedzą. A skoro wiedzą, to są wtajemniczeni, są agentami Najwyższej Świadomości. Ten wasz dzisiejszy świat jest jednak światem bez Boga, światem mafijnym. Więc tacy jak ty są w nim klasyfikowani jako produkt uboczny, są wylewani do rynsztoka.

Skoro tak było, dziwnym się wydaje, że Miguela okazywała mi wcześniej tyle szacunku i zainteresowania. Dyskutowałem z nią o rzeczach, o których z niewieloma ludźmi można byłoby dyskutować. Z nią, córką diabła.

– Pani przychodzi do mnie od wewnątrz, a nie od zewnątrz – powiedziałem kiedyś do niej na początku naszej znajomości. – To jest coś zupełnie innego. Nie mógłbym żyć życiem, które zaczyna się od jedzenia śniadania, a kończy na jedzeniu kolacji. Ale pani obecność ma na mnie uszczęśliwiający wpływ. Jest pani dla mnie jedną z tych nielicznych kobiet, które mają w sobie ową pierwotną siłę przyciągania. Mam na myśli moje serce. Ono stoi samo z siebie, także bez mojego świadomego



udziału, dla pani otworem.

Niemal dwa lata później jeden z facetów, którzy pracowali dla muzeum z ramienia firmy security (ochroniarskiej), zaproponował jej, że odwiezie ją do domu. Był to już późny wieczór, bo mieliśmy znowu za sobą jeden z tych otwartych dni i zwiedzający mieli wstęp wolny bodaj od piątej po południu do wpół do dziesiątej. Już przedtem kręcił się przy niej ten typ cały dzień i co rusz to ją nagabywał, i teraz właśnie przypadkowo zauważyłem, że się już przebrał (w czasie pracy musiał nosić strój służbowy) i najpierw pojechał windą na górę, bo myślał zapewne, że Miguela oprowadza tam jeszcze jakąś grupę, a kiedy skonstatował, że jest już na dole, z powrotem wsiadł do windy, żeby ją dopaść tam właśnie. Wtedy podszedłem do niej bardzo szybkim krokiem i nie bacząc, że jest w trakcie rozmowy z kimś ze zwiedzających, zawołałem:

– Miguela, Miguela!

Spojrzała na mnie nieco zaskoczona i zaciekawiona jednocześnie.

– Klaus jedzie do ciebie – dorzuciłem już ciszej (nazywaliśmy go między sobą po imieniu, bo miał bardzo długie nazwisko, a imię to pasowało do jego chorobliwie nadmiernej tuszy i niepozbowionej pewnego kobiecego wdzięku ruchliwości). I wypowiedziawszy te słowa, zniknąłem w jednej z bocznych sal wystawowych, nie chcąc przeszkadzać jej w dalszym prowadzeniu rozmowy. Ale Miguela wbiegła po chwili za mną do środka i powiedziała:

– Czy ty nie jesteś o mnie trochę zazdrosny? Tak troszeczkę? – podniosła przy tym rękę i robiąc małą przerwę między palcem wskazującym i kciukiem, pokazała, o ile jej chodzi. Uśmiechnęła się przy tym zalotnie jednym z tych uśmiechów, które natychmiast odsuwały na daleki plan parę niewątpliwych faktów, budząc na nowo nadzieję na bycie z nią razem i pozwalając znowu sobie na chwilę przypomnieć, że nie jest ona

przecież taką wielką gratką, że niedługo zaczniesz podchodzić pod czterdziestkę i że jej uroda bez jej wdzięku byłaby jak róża, której by zostały już tylko same kolce.

– Może – odpowiedziałem bez przekonania. Bo w gruncie rzeczy, co ją obchodziło, czy ja jestem o nią zazdrosny? I dlaczego się do mnie uśmiechnęła tym swoim powyżej opisanym podstępno-tajemniczym uśmiechem, który zdawał się być czymś więcej, który zdawał się być... Który zdawał się być jakąś propozycją, którą można by wyrazić w słowach: „A może to ty chcesz mnie odwiedzić do domu?”

– Nie.

Nie, bo przecież wiedziałem, że jej brzuch tego nie chce; i serce też nie. Miałem jeszcze w uszach te jej słowa, które były jej odpowiedzią sprzed paru miesięcy na moją kolejną ofertę, żeby się chociaż ten jeden jedyny raz spotkać na zewnątrz albo chociaż pójść razem do teatru, czy coś w tym rodzaju. Kupiłem wtedy już bilety i wręczyłem je jej w kopercie z małym liścikiem i krótkim wyjaśnieniem, że sztuka jest świetna i że naprawdę warto na nią pójść. Jej odpowiedź?

– Moje serce nic do ciebie nie odczuwa.

Paliła przy tym nerwowo papierosa, a myślami była gdzieś daleko.

– Bilety oddam ci potem. Zapomniałam w domu. Można je jeszcze oddać?

– Może jeszcze dzisiaj można. Bilety są na jutro...

– Na pojutrze.

– Aha. To jakoś źle sobie zapamiętałem.

– Spróbuję sama oddać. Dziś wieczorem.

– Nie musisz oddawać, możesz pójść z kimś innym.

– Nie, nie, chcę oddać. Żeby wszystko było jasne. Pójdę tam. I spróbuję oddać.

– Mogę przecież iść sam. Nie musisz tego robić za mnie.

– Nie, nie, jest już późno, nie wiem, czy się uda oddać. Ale spróbuję oddać. Pójdę tam.

Zachowywała się przynajmniej dziwnie. Była przy tym jakoś nienaturalnie poddenerwowana.

Parę dni później podeszła do mnie w zaułku holu głównego i jakby bacząc, żeby nas ktoś nie zauważył, wręczyła mi bilety i powiedziała:

– Niestety, nie udało mi się oddać. Ale to dużo pieniędzy. Bilety były bardzo drogie.

Zaintonowała przy tym to „bardzo”, jakby chciała powiedzieć „wyjątkowo”. Bilety były wprawdzie drogie, ale nie bardzo. Normalna cena biletów na wzięty spektakl do porządnego teatru. Zastanawiałem się już przez chwilę, jak mam na to jej „bardzo” zareagować. Może chciała przez to powiedzieć, że chętnie by sobie przejrzała moje ostatnie zeznanie podatkowe? Najwyraźniej jednak czekała na jakąś odpowiedź. Choć więc moje finansowe położenie jak zwykle utrzymywało się co najwyżej w dolnej strefie stanów średnich, odpowiedziałem:

– Ach, nie, wcale nie były takie drogie.

A potem sobie pomyślałem, że nie lubię kobiet, które mówią, że mają na imię Maria; bo one wszystkie mają na imię Magdalena. Oczywiście z jednym wyjątkiem. A właściwie z dwoma. Mianowicie z wyjątkiem Matki stworzenia i z wyjątkiem Marii Magdaleny. Ta pierwsza jest na zawsze Niepokalana. A ta druga kochała Pana miłością, jakiej żadna kobieta nie kochała żadnego mężczyzny. Dając tym samym początek heterotriarchatowi; i nowemu gatunkowi: hetero sapiens. Czasami nie mogę oprzeć się wrażeniu, że one obie były (są) jedną istotą, przynajmniej

jeżeli chodzi o zdolność do – także heteroseksualnej! – miłości bliźniego. Bo nic, co Boskie, nie jest mi obce. A w każdym razie mam takie wrażenie.

Po chwili przypomniałem sobie znowu słowa Su:

– Nie czyń ze swojej głowy parasola. Przynajmniej dopóki nie jest jeszcze otwarta.

Nie zrozumiałem wprawdzie, o co jej chodzi, tak jak teraz nie rozumiałem Migueli, kiedy akcentowała to „bardzo”, jakby była moją psychoterapeutką albo wychowawczynią, a ja byłbym niesfornym uczniakiem, który co i rusz pozwala sobie na wysoki, przerastające jego możliwości finansowe; ale Miguela najwyraźniej oczekiwała ode mnie jakiejś odpowiedzi. Odpowiedzi na niepostawione pytanie.

Do Su wtedy powiedziałem:

– Zbyt małym będąc na huśtawkę, modliłem się kiedyś, żeby chociaż nie oberwać nią w głowę, kiedy będę się kręcił w okolicy.

I w tym momencie też już chciałem powiedzieć coś podobnego, coś, co by podkreśliło moją skromność, cechę, która w moich oczach zasługiwała sobie na wielki szacunek szlachetnych, kobiecych serc, do których nadal zaliczałem naiwnie także serce Migueli. Z drugiej strony wahałem się jednak jeszcze, żeby nie przeciągnąć struny i nie wyjść na wariata. Miguela była, mimo swojej transseksualnej uniwersalności i tolerancji, wręcz luzu, przede wszystkim realistką, a nie poetką. A ja nie chciałem oczywiście w jej oczach uchodzić za „świra”.

– To naucz się pływać, zanim wyruszysz na pierwszy swój połów – zripostowała wtedy Su.

A teraz, ponieważ nie rozumiałem tego „bardzo”, gdyż było ono zbyt nachalne, zbyt podchwytliwe i zbyt jak na Miguelę w stosunku do mnie ciekawskie, poczułem, że ona znowu mnie

oplątuje, że robi niby krok do tyłu, ale za bardzo wypina się w moją stronę, wewnątrznie się do mnie przybliża i już właśnie urokliwie nakłada mi kolejny stryczek na szyję. Stryczek, który będę musiał potem jakoś z siebie zdjąć.

W głowie zabrzmiały mi znowu słowa Su:

– Kiedy zauważasz, że prosta droga, na której się znajdujesz, jest w gruncie rzeczy krzywa – znowu jesteś na prostej.

I ja miałem chyba rzeczywiście wkrótce znaleźć się na takiej prostej. Bo zauważyłem, że droga staje się coraz szersza, jak przed ostrym zakrętem. I w końcu... I w końcu parę miesięcy później, w połowie lipca... wylądowałem na jakiejś polanie; siedząc jeszcze za kratami mojej bogobojnej celi; ale jednocześnie mając więcej racjonalnej odwagi niż kiedykolwiek dotąd. Co nie oznaczało naturalnie, że przestałem być straceńcem nowego przykazania. Albo raczej jego niewolnikiem.

Niemniej teraz, w czasie tej zdawkowej rozmowy z Miguelą, miałem już właśnie na ustach słowa: „Czy ty właściwie umiesz pływać?”; albo jakieś podobne słowa lub słowa o podobnym znaczeniu; z tym że zamiast je wypowiedzieć, wypłuszy to moje niezdarne „Ach, wcale nie były takie drogie”, dodałem tylko:

– Ale ta sztuka jest dobra. Mogłaś pójść z kimś innym.

A pomyślałem: „Na przykład z Eleni”. Po czym automatycznie zdałem sobie sprawę, że to znowu o Eleni jej chodziło. I że to „bardzo” oznaczało tylko próbę wydobywania ze mnie informacji, czy moja sytuacja finansowa nie jest jednak dużo lepsza, niż ona, Miguela, myśli; bo to mogłoby z kolei oznaczać, że jestem dużo lepszym kandydatem dla Eleni, niż Miguela była skłonna przypuszczać. Jednym słowem chodziło jej o przygotowanie kontrkłamstwa na wypadek, gdyby do Eleni dotarła wieść, że stać mnie na „drogie” bilety do teatru. Wtedy mogłaby powiedzieć do Eleni coś takiego:

– Ach, Andrzej... Jak na swój wiek zachowuje się czasami

dziwnie.

– Dziwnie? – odparłaby Eleni, która z natury była bardzo oszczędna w słowach. Czasami już się nawet zastanawiałem, po co ona w ogóle została tą przewodniczką. Ale ta oszczędność, a raczej trudność, z jaką cedziła swoje słowa, odkrywała nieposkromioną hartowność jej ducha, jej odporność na ciosy; i jej swoistą prawomyślność; i prostolinijność zarazem.

Miguela poczuła się trochę zbita z tropu. Wiedziała, że Eleni można bardzo łatwo nadepnąć na piętę, a za wszelką cenę chciała tego uniknąć. Zastanowiła się krótką chwilę i, dobrze znając swoją osobistą sytuację, „rozsądnie” skłamała:

– No tak. Bo chyba mu się nie przelewa. To nie lepiej zamiast wydawać pieniądze na coś, czego nie potrzebuje, żeby coś kupić swojej rodzinie?

Pytanie bez odpowiedzi. Z rodzaju krętackich. I to w ustach kobiety, która nie tylko że wydawała miesięcznie kilkaset euro na papierosy, ale w dodatku byłaby gotowa bez wahania oddać Eleni wszystko, co posiada, może nawet własną córkę. I jednocześnie kobieta, która gloryfikowała niemal (w domyśle – swój własny) rozsądek, nie uznając jednak statusu społecznego za czynnik istotny dla rozwoju wzajemnych miłosnych i sąsiedzkich stosunków. Przynajmniej do czasu, kiedy sama była jeszcze w dołku i nie zdołała zapanować nad swoimi aktualnymi finansowymi kłopotami. Wyobrażałem sobie, co będzie, kiedy jej trudności na tym polu przeminą. Pewnie się wtedy nagle okaże, że to finanse są właśnie niezbędnym dla życiowego zadowolenia czynnikiem. Tak, Miguela miała łabędzią szyję. I naginała ją zawsze w kierunku, z którego dochodził do niej zapach kolejnego rozpalonego przez nią ogniska. Nie zawsze dawała sobie jednak radę w tym swoim płonącym lesie. Za dużo było już w nim tych ognisk i za dużo niepewnych ścieżek. I przede wszystkim – za dużo zapomnianych kłamstw, które zamazywał dym kolejnych z nich, wyprawiając panią prawdę do lamusa lub na ugór bieżących strategii działania. Księżniczka Miguela była

możnowładczynią głównie na tych ugorach właśnie. I to był chyba jej podstawowy problem.

A wy? Jaki macie problem? Jaki macie podstawowy problem? I kto was o to pyta? Ja? Czy nie ja?

To nie jestem z pewnością ja. To jest On – kontroler jakości. Przemawia do was przez tubę, którą jestem. Taki Nadprzewodnik z któregoś tam, siódmego, a może i dziesiątego albo trzynastego, niewyobrażalnego wymiaru, który używa tego megafonu, szepczącego wam do ucha te słowa, aby wam wasz podstawowy problem uświadomić. To naprawdę nie jest żadna literatura. (Choć i tego nie można być pewnym.)

Powróćmy jednak do lata 2008 roku. Do okresu, kiedy czas, który jest tylko sprokurowanym na użytek ludzkości, sztucznym systemem zarządzania, sztuczną odnogą realnie poza nim istniejącej rzeczywistości – powróćmy więc do okresu, kiedy czas ten stanął dla mnie w miejscu. Stanął tak, jakby kolejka przeznaczenia, w której się znajdowałem, w której każdy z nas się znajduje, nagle, a właściwie nie tyle nagle, co jakimś cynym podstępkiem, jakimś niezupełnie racjonalnym sposobem, stanęła w miejscu, i lekko się jeszcze kołysząc w tę i we w tę, konsekwentnie nie dawała się ponownie wprowadzić w ruch. Jeżeli byśmy wyobrazili sobie tę kolejkę jako gigantyczną kolejkę górską z wesołego miasteczka, to można by mnie było dostrzec w wagoniku zawieszonym gdzieś na trzy czwarte wysokości na najwyższej spirali, co i raz nerwowo wychylającego się na zewnątrz, a także co i raz – spontanicznie, wręcz wybuchowo, ale po chwili już z wyrazem skruchy – przeklinającego pod nosem. Moim usiłowaniem było bowiem ponowne wprowadzenie kolejki w ruch, ale moim nieszczęściem, że nie miałem na to wpływu, że na scenie moich życiowych występów miała miejsce pauza, i dopóki jeszcze nie odezwał się gong, znajdowałem się poza marginesem rzeczywistości, zawieszony w przestrzeni przynajmniej częściowo realnie – z punktu widzenia cząstkowej realności ziemsko-dobowej – nieistniejącej. Byłem więc wykluczony z

obiegu i im bardziej się wściekałem, denerwowałem, im bardziej starałem się powrócić na jawę, głównie zresztą z powodu poczucia obowiązku, nakazującego mi zarobkować na życie i być w kontakcie ze światem zewnętrznym, im więc zacieklej próbowałem moją kolejkę ponownie wprowadzić w ruch, tym mniej ona sobie z tego robiła, z czasem sprowadzając swój jeszcze ledwo wyczuwalny, kątowy ruch, swoje jeszcze lekkie kołysanie się, swoje jakby przekolejanie się na bocznicy do stanu absolutnego spoczynku; do zastoju.

Ach, potrafiłem sobie na tysiąc sposobów wytłumaczyć, dlaczego tak jest, i może o paru z nich zaraz opowiem, ale spostrzegłem, że ów zastój, że ów nieharmonijny ład, w którym się zaklinowałem, ma też wpływ na to, jak piszę mój pamiętnik; a mianowicie „spowolnia” go. Tam, gdzie przedtem usiłowałem nie zanudzać czytelnika moimi spostrzeżeniami i chwilami zbędnych, zdawałoby się, refleksji, pojawiły się teraz luki – wolno – czekające na wypełnienie przestrzenie, nagie, jeszcze niezinterpretowane fakty natury psychologicznej. Kiedy jednak zabierałem się do ich opisu, do wyrażenie ich słowami, moja kolejka często zgrzytała, potracana jakąś niewidoczną lokomotywą, i wytrącała mi niemal pióro (długopis) z ręki. I to dosłownie. Bo jak nazwać to, że w obydwu sąsiadujących z moim kolońskim apartamentem mieszkaniach, dodajmy – apartamentem bardzo skromnym zresztą – odbywał się właśnie wyjątkowo gruntowny remont? Do jednego, tego z naprzeciwka, właśnie wprowadził się jakiś nowy lokator na miejsce mojej sąsiadki, a do drugiego, tego nade mną, jakiś młodzieniaszek z narzeczoną (czy bardzo młodą żoną); ci ostatni zakupili to kompletnie zdewastowane przez mieszkających tu przed paroma laty Libańczyków, znajdujące się na pierwszym piętrze, powyżej mnie, mieszkanie. I musieli wykonać całkowity remont; co zajęło im oczywiście miesiące, gdyż już samo usuwanie z niego starych sprzętów, tapet, dywanów, fragmentów ścian, nie wiem, czego jeszcze, trwało dobrych parę tygodni. Potem nowa elektryka, kompletna wymiana rur, nowe ścianki gipsowe, setki ścianek, nowa warstwa wyciszająca (na szczęście) na stare



deski podłogowe, nowa podłoga. Do tego jednak jeszcze nie doszli, to jest w planie, a trwa to już dobry trzeci miesiąc. Moja zaś kolejka, nie ruszając się z miejsca, co chwila to podskakuje, to uderza buforami wagonów o jakąś niewidoczną przeszkodę, to znowu wyje niemiłosiernie, jakby nad nią przelatował boeing co najmniej średnich rozmiarów, jeden, drugi, trzeci, dziesiąty, setny. Kociokwik jak w ulu, a ja stoję. I nie mam ruchu. Urząd zatrudnienia, zwany Agenturą, śle mi kolejne zaproszenie, potem jakąś z pozoru atrakcyjną ofertę pracy, więc choć i tak nie mam szans, bo raz, że wiek, dwa, że brak praktyki w branży, trzy, że język, mój akcent, do którego wprawdzie zwiedzający i koledzy z muzeum się przyzwyczaili, ale ten obcy nowy menedżer – po usłyszeniu mojego głosu przez telefon – już następnego dnia odesłał mi moją aplikację. I stoję.

Do tego mój problem zdrowotny. Moje wewnętrzne stygmaty, czyli moje szranki na diabelskie zakusy: narzucona mi z góry, choć właściwie na moją własną prośbę, obrona przeciw nocnym i innym niechcianym ejakulacjom. Te prądy w końcówkach palców lub w okolicach ran Pańskich; które, gdyby trwały dłużej niż sekundę lub jej część, zwaliłyby mnie z nóg. Czasem jednak to nie wszystko, czasem jest dużo gorzej. Tak jak parę dni temu w nocy. Ból w połowie pieszczeli, jakiś jakby wewnętrzny skurcz, tym razem bardziej dotkliwy po lewej niż po prawej, jakby dla wyrównania zaległości, rozsadzający ból bez widocznej przyczyny, ból, który mi mówi, że muszę wstać, bo mnie poskręca, poskręca mi od wewnątrz jakieś małe, niewidoczne mięśnie, bo te zewnętrzne są nietknięte, nienapięte nawet. Ból, który właściwie swoje źródło ma w śródstopiu, jakieś trzydzieści centymetrów poniżej.

Wstaję – bo muszę, bo myślę, że coś we mnie wybuchnie, co mi łydki od strony pieszczeli rozsadzi, zwłaszcza tym razem po lewej. I jak tylko stanąłem...! Jak mi poszło w górę, jak mnie spięło od wewnątrz, jak mnie zakotwiczyło w boleści. Ale wlokę się do toalety, bo myślę, jak każdy by odruchowo myślał, że na

skurcze trzeba się poruszyć, trzeba stanąć, coś zrobić. Siadam i... ulga. Więc już myślę, że za chwilę popuści do końca, i wstaję. Popuściło, ale tylko o jedną czwartą; masuję lewą łydkę od boku, przy piszczelu, tam, gdzie ból się najbardziej skupia... I choć dalej boli, to, jakby mi ktoś jakiś zastrzyk zaaplikował, ból się niewidocznie rozchodzi, rozpływa się w nachodzącym mnie nienaturalnie szybko śnie, jakby nigdy nic.

Hę? Co proszę? Macie wyjaśnienie? Radzę uważać. Bo ból ten jest realny i... zaraźliwy. I nie dowierzać oznaczać może... się zainfekować. Nie tylko bólem, ale i jego... bardziej wymiernym aspektem. Na przykład jakąś może i nieuleczalną chorobą?... Taka metoda na niedowiarków, których Pan postanowił wyzwolić od błędnych wyobrażeń o rzeczywistości. A może też od braku jakichkolwiek wyobrażeń? Wyobrażeń które.

Miewam i inne bóle w miejscach okołostygmatycznych. Zdarzają się też, jak wspominałem, uderzenia prądem w środku dłoni i na głowie, na czubku lub wzdłuż korony; ale też w innych miejscach. Pańska wola!

Ale nie tylko Pańska, moja też. Bo diabelskie nasienie to poraża: ten prąd cierniowy. Sam się czasem pytam, co lepsze – ból czy rogate bydło? I odpowiedź jest chyba tylko jedna.

Niemniej czy ja – pod napięciem niewidocznej mocy albo też w mocy niewidocznego napięcia – czy ja mogę jeszcze w ogóle jako istota społeczna funkcjonować? Gdybym był w zakonie, jak Faustyna i Padre Pio lub tysiące innych, przynajmniej rozumiałbym moją misję, przynajmniej konałbym z przekonaniem, że kierunek jest „oficjalnie” uznany. Ale ja konam bez sensu. Konam, kochając życie. I konam, go nienawidząc.

To może też i jeszcze o innej sprawie? Może opowiem jeszcze, jak to się zaczęło? Jak ubezwłasnowolniony moim własnym libido, prosiłem Królową – którą poznałem już wcześniej i którą już wtedy zaczynałem podejrzewać o to, że jest wszechpotężną matką pierwotną gatunku homo sapiens – jak

prosiłem więc Ją, niepojmowalnie wszechobecną w duchowej (czy też metafizycznej) tkance rzeczywistości Boginię-Królową – o pomoc. I jak ją mi dała. I jak gładząc mnie po głowie – od lekkich muśnięć i strzyknięć poczynając – poprowadziła mnie do stacji „stopkaruzela”. Na nieruchomą wysoczyznę.

Tak, tak, wiem. Powiecie, że mieszam rzeczywistość z fikcją. I że ta cała historia z Atają i Aiyshą... Ale ja właśnie tu się znajduję. Dokładnie w tym miejscu. Mam taki dyżur przy bramie, oddzielającej od siebie dwa światy.

Nie chcę więc wypowiadać się na temat pojemności skokowej mózgowi niektórych... naszych współbliźnich, ale wyobraźnia... to nie jest świat fikcyjnych urojeń, ale to jest właśnie ta brama, przy której ja stoję. To jest zdolność do przenikania w inne rzeczywistości. Czyli w inne stany rzeczywiste. Nie ma nic wyobrazonego, co nie istnieje. Mówiła już Su. I dlatego nawet jeżeli śmierć Pana na krzyżu uznalibyście za fikcję, albo – jak mówili o tym Plejadianie do Barbary Marciniak – za wgraną w rzeczywistość fikcję, wydarzenie, które miało odsunąć Cesarstwo Rzymskie od przejęcia na planecie władzy totalitarnej na stałe, a w rezultacie zostało przez nie wykorzystane jako jej przedłużenie pod herbem Kościoła – nawet więc gdybyście to najważniejsze dziejowe wydarzenie, najdonioślejsze dla biegu naszej, znanej nam w europejskim kręgu kulturowym historii, uznali za fikcję, to w rezultacie i tak nic ono nie traci ze swojej doniosłości. Bo dla tych, którzy poszli z Mesjaszem na Golgotę, istnieje tylko jeden wymiar: wymiar nieskończonej miłości. Wymiar, którego według przewrotnych faryzeuszy i innych popleczników belzebuba w ogóle nie ma. I być nie może. Co jest objawem najgroźniejszej choroby – choroby niemiłości. Ale nie tylko. Bo czyż nie uzurpują sobie oni w ten sposób prawa do samowolnej władzy nad tym światem? I czy nie jest to nierząd? I czy dla tych staropatriarchalnych wasali nierządu, którzy grają w kości, rozłozowując pomiędzy siebie kantony swojego bezprawia, ma w ogóle jakieś znaczenie, że ktoś z miłości ginie za innych na

krzyżu?

Niech więc te trzody baranów, idących na rzeź, trzody pseudo naukowców i pseudo humanistów – gromadząc się stadnie wokół polany demokracji, obsianej przez czarnego wilka wolnomyślicielskiego protekcjonizmu – nadal nie dostrzegają, że ta stojąca na jej środku budowla to nie łuk triumfalny, lecz szafot: brama do wolności bez osądu ze strony Najwyższego Sędziego. Brama zatem do wolności niezasłużonej, nieokupionej – ale wykradzionej podstępem, wyemancypowanej na siłę, wyrosłej z zatrutego korzenia.

Oto więc moja antyrecepta:

Smutek, który nie może mi wyjść z oczu, smutek konania, smutek konania bez sensu i przeżycia życia bez sensu, bez ładu i składu, bez przyczyny i skutku. Bóle, które mnie przenikają i obezwładniają, kiedy tylko jeszcze usiłuję myśleć zbyt pozytywnie, czyli myśleć o wspólnym życiu pod jednym dachem z jakąś ukochaną istotą kobiecą, z własną rodziną. Bóle i ograniczenia, które... mi narzucają krzyż cierpienia bez jakiegokolwiek racjonalnej perspektywy... Bez względu więc na to, kto za tym stoi, Niepokalana czy demiurg wichrzyciel, ten ktoś nie wychyla się do mnie z za parawanu czasu, nie przedstawia mi się oficjalnie, po imieniu, lecz ukrywa się, tyka mnie po omacku, okrada mnie podstępnie, bezimiennie. A ja nie mogąc stąd do nikąd uciec, bo karuzela kolejki stoi, diabelski młyn się zaciął i rozciąga mnie pomiędzy plikami możliwości bez polotu, bez wolności, bez perspektywy – widzę, że mój rozwój w tym świecie dobiegł końca. Osiągnąłem stadium, w którym już nie mogę otworzyć skrzydeł, gdyż natrafiły one na betonowe ściany, i albo się ponownie zwiną – jako że stały mi się w tej globalnej sodomie i gomorze już tylko zawadą – albo zaczną mi odpadać.

Nietrudno jest umierać, opuszczając ten padół cierpienia i nienawiści. Trudno jest jednak tu żyć, nie mając do tego jednego jedyne jasnego powodu, który by się zmieścił na tej

jednej z waszych życiowych półek.

Życzę wam wszystkim zatem, aby wam się dobrze żyło; abyście dożyli chwil, które były wam dane lub których potrzebujecie, aby zapełnić roztaczające się przed wami doliny. Ale co mam powiedzieć ja? Który stoję przed ostatnią niezapełnioną doliną? Doliną życia, którą otaczają potężniejsze mury, niż najznamienitsze zamki warowne. A mnie, rycerza bez konia i miecza, bez przywilejów i układów, jakaś niewidoczna siła ciągle pod te mury prowadzi i zostawia sobie samemu, jakby w nadziei, że może kiedyś wreszcie utopię się w wylewanych z nich pomyjach. Ale... chwilowo mi to nie grozi. Zawisłem właśnie ponad tym. Na trzy czwarte wysokości.

Dlatego w tej chwili, która się rozciągnęła do nieskończoności, żegnam się z wami, nie mając wam już nic do powiedzenia. Może kiedyś nastąpi coś, co sprawi, że kolejka zostanie znowu wprawiona w ruch. Może już nawet czuję, pisząc te słowa, że ktoś zabrał się do naprawy zaciętego trybu, że coś zaczyna się dziać, coś całkiem innego, nowego. Nie wiem. Gdyby jednak nawet tak było, ten rozdział się zakończył. Ten rozdział albo ta opowieść. I być może teraz zacznę żyć, jak feniks powstawszy z popiołu. Ale czy to będę ja? Czy mój bilet, który z takim trudem udało mi się dostać, nie utracił właśnie swojej ważności? Radzę wam to samo, weźcie w ręce swój bilet i sprawdźcie datę ważności, zanim nie pojawi się przed wami ktoś, tak niewiadomo skąd, i nie powie:

– Jesteśmy na miejscu. Proszę opuścić pociąg. To jest stacja końcowa.

– Ale ja muszę dalej...

– Proszę wysiąść. Bilety sprzedają na stacji.

– Na stacji?

– Tak, obok jest stacja. Ale...

- Tak?
- Tylko za gotówkę.
- Za gotówkę? Ja nie mam przy sobie gotówki. Mam kartę płatniczą.
- To już nie moja sprawa. Mnie jest tylko wiadome, że bilety tu sprzedają tylko za gotówkę.
- Ale dlaczego? Co to ma znaczyć?
- Nie wiem. Jakiś przetwornik im się popsuł. Ale to już dawno temu, wieki...
- Wieki?
- No, tak się mówi. Ale to fakt, że jak tu przyjeżdżam, to zawsze jest popsuty.
- No i co ja teraz?...
- Trzeba czekać. Kiedyś naprawią. A teraz proszę już wysiąść, zjeżdżamy na bocznice. Do widzenia.
- Do widzenia...

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net